



CZARNA GWIAZDA

WOJCIECH WÓJCIK

WOJCIECH WÓJCIK

CZARNA GWIAZDA

OPRACOWANIE GRAFICZNE
RAFAŁ SKRZYPCZAK



WARSZAWA 2005

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Publikowanie i wykorzystywanie fragmentów lub całości bez zgody autora i dystrybutora
zabronione.

Dystrybucja bezpłatna drogą elektroniczną –
serwis www.wernic.pl

Rozdział pierwszy

Zima przełomu lat 1895/96 powoli dobiegała końca. W połowie kwietnia, po jej gwałtownym (i ostatnim już) ataku, nad Milwaukee zaświeciło wiosenne słońce. Szare i skute dotąd lodem parki i skwery wypełniły się jasną, świeżą zielenią. Ludzie, jeszcze niedawno okutani w zimowe płaszcze i futra, teraz spacerowali ulicami jedynie w rozpiętych pod szyją koszulach. Na jeziorze Michigan spłynęła kra i akwen ten skrzył się i mienił w ciepłych promieniach naszej dziennej gwiazdy. Gdziegdzie dostrzec można było białe trójkąciki żagli – znak, iż w stanie Wisconsin wiosna rozgościła się już na dobre.

Cała przyroda powoli budziła się do życia po miesiącach przymusowej stagnacji. Nawet w granicach miasta można się było natknąć na zbudzone z zimowego snu borsuki, szopy czy wiewiórki. Odleciały gdzieś kraczące, posępne wrony, a ich miejsce zajęły rozśpiewane słowiki. Zakwitły pierwsze kwiaty – wielobarwna gama intensywnych kolorów mocno kontrastowała z nieuprzętniętymi, roztapiającymi się powoli pryzmami brudnego śniegu. W ludzkich sercach także topniał zimowy lód – oblicza przechodniów były jakby weselsze, życzliwsze i pełne optymizmu.

Nikt jednak nie czekał na wiosenną porę z takim utęsknieniem, jak ja. Wszak co roku, od kilkunastu już lat, wczesnowiosenne roztopy oznaczały dla mnie początek kolejnej wspaniałej przygody! Ileż to już razy, podczas długich, wypełnionych ciężką pracą zimowych miesięcy, marzyłem o podmuchach preriowego wiatru, wolności, jaką dają tylko puste, olbrzymie przestrzenie. Dnie spędzone w siodle, a noce – w blasku płonącego ogniska... Och, można chyba zrozumieć, że od momentu, gdy miejsce śniegów zajęła zielona murawa potrafiłem myśleć tylko o jednym!

Z coraz większą niecierpliwością przerzucałem kartki w kalendarzu. Wreszcie pewnego słonecznego dnia do drzwi mojego mieszkania zastukał długo oczekiwany gość – mój najlepszy przyjaciel, Karol Gordon.

- Jak się masz, Janie?! – zakrzyknął, gdy dopełniliśmy już

ceremoniału wzajemnego ściskania i poklepywania po plecach. – Co do mnie – kontynuował – to czuję, że niewiele już przede mną zimowych wypraw. Robię się na to zbyt stary i zbyt leniwy.

- Co też mówisz, Karolu?! – obruszyłem się. – Wyglądasz doskonale i jestem pewien, że przed tobą jeszcze wiele lat traperki. Poza tym, jeżeli zarzucisz swój dotychczasowy tryb życia, to któż będzie mi towarzyszył w kolejnych wakacyjnych wódczęgach?

- Ech, nie będzie tak źle... – mruknął Karol. – To chyba tylko chwilowe zmęczenie. Ale jakbyś wiedział, co mnie spotkało, nie dziwiłbyś się mojej nostalgii.

W tym miejscu Karol urwał, kierując się w stronę wypełnionej po brzegi gorącą wodą wanny w mojej łazience. To niezastąpiona Katarzyna, nieokreślonego wieku Irlandka od wielu już lat prowadząca moje gospodarstwo domowe, słysząc w hallu znajomy głos, przygotowała tradycyjną kąpiel. Czekać przy suto zastawionym stole, zastanawiałem się, jaka to przygoda spotkała mojego, zwykle optymistycznie nastawionego do życia, przyjaciela.

Moja cierpliwość wystawiona została na ciężką próbę. Gdy ogolony i wyświeżony Karol zjawił się w jadalni, całą jego uwagę pochłonęły zgromadzone tam przysmaki. Półgodzinny brzęk sztućców przerywały jedynie chaotyczne uwagi, zagryzane zresztą natychmiast obfitymi kęsami pieczeni. Gdy wreszcie zasiedliśmy przy kominku i zapalili fajki, za oknem szarzał już zmierzch.

- Karolu, zaczynam się trochę niecierpliwić. – zagałęm rozmowę. – Wspominasz coś o tajemniczej przygodzie, a potem uparcie milczysz. Nie ufasz mi?

- Ufasz, ufasz. Po prostu sam nie wiem od czego zacząć. Pamiętasz, jak kiedyś myślałem o zdobyciu funduszy na ośrodek dla niedołączonych traperów?

- Jak mógłbym zapomnieć? Niestety skarb zakopany nad brzegami Wielkiego Jeziora Niedźwiedziego nie przysłuży się tej szlachetnej sprawie...

Muszę w tym miejscu wyjaśnić, iż kilka lat temu, podążając za wskazówkami zapisanymi na przypadkowo zdobytej mapie powędrowaliśmy aż na daleką północ Kanady, z nadzieją odszukania ukrytych tam kosztowności i przekazania ich na wspomniany przez Karola cel. Niestety, skarby spoczęły na wieki w odmętach Wielkiego Jeziora Niedźwiedziego, a my o mały włos nie pożegnaliśmy się

wówczas z życiem. Sądziłem, że pomysł zdobycia środków na dom spokojnej starości dla emerytowanych traperów ostatecznie wywietrzył wtedy z głowy Karola. Przeczyły jednak temu jego następne słowa:

- Od czasu naszej północno-kanadyjskiej przygody wciąż zachodziłem w głowę, jak by tu zdobyć fundusze niezbędne dla funkcjonowania traperskiego przytułku. Wiele niestety nie wymyśliłem... aż do tej zimy. Pozwól jednak, że opowiem wszystko po kolei.

- Zamieniam się w słuch. – odrzekłem, popychając wysłużonym, pordzewiałym pogrzebaczem tłące się w kominku polano. Trzasnęły płomienie dające przyjemne ciepło i jeszcze przyjemniejszą atmosferę do wysłuchania opowieści z dzikich i nieprzyjaznych stron.

- Tej zimy polowałem w północnej części kanadyjskiej prowincji Alberta. – rozpoczął Karol. – Nie miałem jednak szczęścia. Albo oślepiłem i ogłuchłem, albo też – co bardziej prawdopodobne – zwierzyna wyniosła się z tych stron dalej na północ. Ja... powędrowałem na zachód. Dlaczego akurat tam? Pewnie przez ciekawość. Nigdy wcześniej nie zapuszczałem się na tereny Brytyjskiej Kolumbii.

- Karolu, toż to zupełnie dzikie i bezludne tereny! – krzyknąłem dziwiąc się doborowi miejsca zimowych polowań dokonaneemu przez swojego towarzysza.

- Nie takie znowu bezludne. – odparł Karol. – Na drodze swej wędrówki napotkałem farmę. Przemili ludzie – małżeństwo z dwójką nastoletnich dzieci. Byli tak gościnni i nalegali tak mocno, że zdecydowałem się przebywać w okolicach i regularnie ich odwiedzać. Szczególnie mocno zaprzyjaźniłem się z głową rodziny, Stevenem. Jest to mężczyzna wieku, który w młodości, tak jak ja parał się traperką. Jest lub był... – westchnął.

- Jak to „jest lub był”? – spytałem zdumiony.

- Cierpliwości. – odparł Karol siłą woli powstrzymując atakującą go znowu wyraźnię melancholię. – Otóż, gdy poznaliśmy się bliżej, Steven zaprosił mnie na obiad i – swoimi słowami – przedstawił mi „mój” plan zorganizowania przytułku dla schorowanych traperów. Gdy odparłem mu, że sam od dawna o tym myślę i opowiedziałem mu historię naszej wyprawy po skarby MacKenzie, aż pojaśniał na twarzy i zaproponował mi wspólną wyprawę po... złoto. Rozumiesz mnie,

Janie, w pierwszej chwili aż oniemiałem.

Ja także oniemiałem, lecz niezrażony tym Karol ciągnął dalej:

- Steven wyjaśnił mi, że przed dwoma laty, polując z synem w Górach Skalistych, przez zupełny przypadek odkrył bonanżę. Do tego odkrycia nie przywiązywał zresztą wielkiej wagi – powodziło mu się nieźle, nie chciał też najazdu różnych typów spod ciemnej gwiazdy, którzy od zawsze pojawiali się w stronach, gdzie odkryto złoto. Jednakże – jak mówił – świadomość posiadania wiedzy o ukrytych bogactwach nie dawała mu spokoju. Cel, na który zdecydował się przeznaczyć bonanżę, nie nasunął mu się przypadkowo. Wszak sam pędził niegdyś trudny żywot trapera i miał świadomość, że nie każdy traper jest w stanie – tak jak on – ułożyć sobie życie. Do chwili, kiedy ja pojawiłem się na jego farmie, nie miał jednak sposobności, by udać się na miejsce bonanży i wykopać złoto. Rzecz jasna, natychmiast zaproponowałem naszą pomoc.

- Nie rozumiem więc Karolu, w czym tkwi problem. – powiedziałem nabijając tytoniem swoją fajeczkę. – Chyba nie sądzisz, że odmówię swej pomocy. Za tydzień lub dwa, gdy nieco odpoczniesz, wybierzemy się w Góry Skaliste.

- Nie mylisz się, Janie. Jednak sytuacja wcale nie jest tak prosta, jak ci się wydaje. Otóż, kiedy w kilka dni po mojej rozmowie ze Stevenem pojawiłem się znów na farmie, aby wyruszyć przed wiosną na rekonesans, zastałem na miejscu jedynie tłące się zgliszczą. Przeszukałem najbliższą okolicę, jednak pora wiosennych roztopów nie pozwoliła mi na dokładniejszą penetrację. Pewną pociechą jest fakt, że wśród smolnych ruin domostwa nie natknąłem się na żaden ślad po ciałach. Wniosek jest prosty – cała rodzina została uprowadzona.

- Ale jak? Dlaczego? Przez kogo? – wyjąkałem, zdumiony kierunkiem, w którym rozwinęła się sytuacja. – Karolu, czy mogło chodzić o złoto?

- Nie wiem, ale mój instynkt mówi mi, że tak. Steven jest naprawdę złotym człowiekiem, jednakże, tak jak wielu pionierów, grzeszy często nadmiernym zaufaniem do obcych, a czasem wręcz naiwnością. Jaką mamy gwarancję, że nie podzielił się swym odkryciem z kimś innym?

- Karolu, Karolu. – pokręciłem głową. – Jeżeli tak było, to na pewno by ci o tym powiedział. Chyba, że naiwność połączona jest u

niego z... głupotą.

Karol chrząknął, pyknął z fajeczki, przymknął oczy i zamyślił się głęboko. Siedział tak w milczeniu przez kilka minut, aż począłem się obawiać, czy nie uciał sobie drzemki. Po cichu wstałem, poszedłem do kuchni i z ozdobnego czajniczka nalałem sobie filiżankę herbaty. Gdy wróciłem, Karol ponurym wzrokiem wpatrywał się w kominek.

- Wiesz Janie. – powiedział wyciągając rękę w kierunku mojej filiżanki. – Pewnie masz rację, ale... – w tym miejscu przerwał wypijając moją herbatę. – Ale pomyśl, może Steven opowiedział komuś o swoim znalezisku już po rozmowie ze mną.

- Sądysz, że ta rozmowa...

- Uważam, że rozmowa z nieznajomym (lub nieznajomymi) odbyła się już po tym, jak ja się wszystkiego dowiedziałem. Może Steven, wiedząc, że ja wiem, poczuł się bezpieczny? Zresztą posłuchaj dalej. Kiedy zafrasowany skierowałem się ku linii kolejowej, by powrócić na wschód, wydawało mi się, że słyszałem strzał. Nie uśmiechaj się, nie mam jeszcze starczych majaków. To co uznałem za strzał, równie dobrze mogło być odgłosem, jaki wydaje łamiący się lód. To zresztą nie był jedyny sygnał ludzkiej obecności, na jaki natrafiłem. Dwa dni później załamała się pogoda. Straszliwa zamieć śnieżna dopadła mnie na niczym nie osłoniętej płaszczyźnie. Wlokłem się noga za nogą nie dostrzegając niczego w szarej otchłani wirujących płatków śniegu. Kto wie, jakby skończyła się moja przygoda, gdybym nagle nie zwrócił uwagi na rysujące się w oddali migoczące źródło światła. Zacisnąłem palce na kolbie swej strzelby, podszedłem i natrafiłem na niewielką grootę...

- Grootę? – przerwałem z powątpiewaniem. – A skąd wzięła się grotka na niczym nie osłoniętej płaszczyźnie?

- Wierz mi, że wtedy się nad tym nie zastanawiałem. – odparł Karol. – Dopiero rano dostrzegłem, że po obu stronach grotki grunt nieco opada, tworząc płytkie kaniony. Ot, taka ciekawostka geologiczna, jakich już wiele przecież napotkaliśmy – skalna „wysepka” w morzu traw. Pozwól jednak, że wrócę do mej opowieści, zwłaszcza że pochodzenie grotki nie odgrywa w niej żadnego znaczenia. – dodał z przekąsem.

- Och, Karolu, nie musisz być złośliwy. – rzekłem, nie czując jednak urazy. Karol pyknął z fajeczki, podrapał się po głowie i podjął opowieść.

- Wewnątrz grotu czekała na mnie płonąca wyraźnie od niedawna smolna szczapa i pokrojone mięso górskiej owcy. Nigdzie nie było natomiast mojego dobroczyńcy. Rozglądałem się przecież uważnie, a po zaspokojeniu głodu wyruszyłem nawet na niewielki rekonesans i... nic. Ani śladu! Kiedy rankiem wyruszałem w dalszą drogę, na świeżym śniegu nie było rzecz jasna żadnych tropów. A jednak ktoś musiał tam być.

- Kto wie, może wystraszyła go twoja obecność, Karolu. Ale jakież to grzechy muszą spoczywać na sumieniu osoby, która wybiera samotną noc w śnieżnej burzy od spotkania przypadkowego wędrowca?

- Chyba się Janie nie mylisz. Coś musiało go skłonić do tego kroku. Kto wie, może to „coś” było związane z porwaniem i osobą Stevena? Chodźmy spać, jutro opowiem ci o mym planie dalszego naszego działania.

Czas pokazał, iż częściowo mieliśmy rację. Ale tylko częściowo. Jednocześnie ogromnie się myliliśmy, a pomyłka ta okazać się miała niezwykle kosztowną i tragiczną w skutkach...

Następnego dnia zerwałem się wraz z dźwiękiem swego budzika. Była już dziewiąta, ale ja – od kiedy pamiętam – lubiłem sobie dłużej pospać. Na preriach zwyczaj ten już dawno - w brutalny zresztą sposób – przerwał Karol, ale w zaciszu swojego mieszkania oddawałem się mu ze wciąż niewygasającą przyjemnością.

Karol, jak szepnęła mi Katarzyna, już od dłuższego czasu krążył nerwowo po domostwie. Natknąłem się na niego w korytarzu, kiedy świeżo ogolony kroczyłem różnym krokiem w kierunku jadalni. Przy znakomitej owsiance i równie smacznych (o niezrównana Katarzyno!) jajkach na boczku Karol przedstawił mi swoje przemyślenia odnośnie naszej wiosenno-letniej wyprawy. Jego zdaniem, powinniśmy czym prędzej udać się na miejsce pogorzeliska i stamtąd – zataczając coraz szersze kręgi – rozpocząć poszukiwania zaginionej rodziny. W świetle poranka cała ta sprawa poczęła wydawać mi się mniej niebezpieczną, niż sądziłem jeszcze poprzedniego wieczora. Nie omieszkałem jednak przedstawić swoich obiekcji:

- Powiedz mi, Karolu, co zamierzasz uczynić w momencie, gdy natkniemy się na bandę porywaczy? Nie chcesz chyba powiedzieć, że porwania mogła dokonać jedna, względnie dwie osoby. Przecież zarówno Steven, jak i jego żona na pewno znakomicie posługują się

bronią. A w odwodzie pozostaje jeszcze dwoje dzieci – z tego co wiem o rodzinach pionierów, dzieci od najmłodszych lat wprawiają się w strzelaniu.

- Rodzina Stevena trochę odbiega od typowego schematu dzielnych osadników. Pewnie się zdziwisz, ale pani domu jest absolwentką uniwersytetu w St. Louis, zaś dzieci (syn i córka, szesnastoletnie bliźniaki) przygotowują się pod jej opieką do egzaminów na wyższe studia. Ale to nie gra w tej chwili żadnej roli. Sam Steven starczyłby za pięciu, sądzę jednak, że w ogóle nie doszło do walki. Nie wskazywały na to żadne ślady. Uważam, że rodzina pojmana została z zaskoczenia, a do tego wystarczyłoby na pewno zaledwie dwóch ludzi. Zresztą Janie, powiedz, kogo chciałbyś poprosić o pomoc? Czarne Stopy?

- No, nie. Lepiej, żeby czerwonoskórzy nie angażowali się w spory białych ludzi, zwłaszcza na terytoriach przynależnych (formalnie) białym. Czasy Wounded Knee są wciąż nieodległe. – odparłem, wspominając niedawną przecież masakrę narodu Dakota. – Nie uważasz, Karolu, że jest to bardziej zadanie dla „czerwonych kurtek”?

„Czerwone kurtki”, czyli Kanadyjska Królewska Konna Policja, była chyba ostatnią formacją, w której obowiązek stania na straży porządku połączony był z romantyczną rolą tzw. „przebiegacza ścieżek”, pioniera niejako kolonizującego dziewicze jeszcze obszary. Tereny podpadające pod wyłączną jurysdykcję Królewskiej Konnej były ogromne; warto jednak podkreślić, iż noszący czerwone, z daleka widoczne, uniformy policjanci legitymowali się znakomitą skutecznością w chwytności wyjętych spod prawa zbiegów.

- Masz pewnie na myśli porucznika Mitchella? Ostatni raz widzieliśmy go przed bodaj sześcioma laty.

Porucznik Garry Mitchell, od lat pracujący w Królewskiej Konnej, był starym znajomym Karola. Poznałem go i ja, a nasze ścieżki krzyżowały się czterokrotnie. Ostatnim razem oddaliśmy mu niemałą przysługę, toteż sądziłem, że warto poprosić go o pomoc. Karol jednak zmarszczył brwi i nie zgodził się na moją propozycję:

- Widzisz Janie, Garry to uczciwy chłop z kośćmi, ale rejon Brytyjskiej Kolumbii podlega zupełnie innym ludziom. To prawda, gdybyśmy poprosili go o pomoc, z pewnością by nam nie odmówił, nawet kosztem urlopu. Pamiętaj jednak, że Mitchell jest przede

wszystkim policjantem. W przypadku odkrycia złota musiałyby złożyć raport, a wtedy... Zamiast domu starego trapera mielibyśmy powtórkę z Clondike: poszukiwacze skarbów i towarzyszący im przestępcy. Nie, Steven nie podziękowałby nam za to. Myślę jednak, że nie pojedziemy we dwóch, tylko we trzech.

- A kogo chcesz zaprosić do naszej włości. Chyba nie Irvina?
- Nie, szeryf na pewno ma dużo pracy w Fort Benton. Nie mógłby pozwolić sobie na dłuższy wyjazd.
- No to kogo? Piotra Carra?
- Ciepło, ciepło, coraz cieplej... Pamiętasz drogę rzeką MacKenzie?
- Oczywiście że pamiętam. Skoro więc nie chodzi ci o Czarnego Piotra, to w takim razie z pewnością masz na myśli Roberta Dreera?
- Zgadłeś Janie. Twoja zdolność szybkiego kojarzenia faktów wystawia ci jak najlepszą opinię.
- Nie dowcipkuj sobie. – oburzyłem się. – Lepiej przypomnij sobie, że nie jedziemy na majówkę, a Robert to jeszcze prawie dziecko!

- Nie takie znowu dziecko. – zaśmiał się Karol. – Ma już niemal trzydziestkę na karku. Dla ciebie, Janie, czas płynie wolniej. Wszyscy wokół starzeją się, jedynie ty wciąż pozostajesz młody.

Słowa Karola mile mnie połechtały. Nie zdążyłem jednak nic odpowiedzieć, gdyż w tym momencie do jadalni wkroczyła Katarzyna, oznajmiając szeptem, że przyszedł „jakiś pacjent”. Przeprosiłem Karola i sprężystym krokiem udałem się do gabinetu, gdzie czekał już na mnie ze zboląłą miną siwiuteńki jak gołąbek staruszek.

Jak na złość tego dnia drzwi od mojego gabinetu niemal się nie zamykały. Karol cierpliwie czekał w mojej bibliotece, przeglądając literaturę o zachodniej części Kanady. To była już niemal tradycja: wiosną, po wyborze rejonu naszej kolejnej wycieczki mój przyjaciel chłonał wszelkie pisane informacje dotyczące krainy, którą zamierzaliśmy odwiedzić. Jakże chciałem w tym uczestniczyć! Badając kolejnych pacjentów z rozrzewnieniem wspominałem okres jesieni, kiedy ludzie dopiero przypominali sobie o mnie po mej kilkumiesięcznej nieobecności. Wiosną praktyka rozwijała się zwykle wspaniale, czemu sprzyjała zresztą wietrzna, zmienna pogoda.

Gdy, sprawiwszy ostatniego pacjenta, wykończony dotarłem do

salonu, zbliżała się już ósma wieczorem. Karol popatrzył na mnie z troską. Wielokrotnie namawiał mnie, żebym zaangażował do pomocy jakiegoś innego lekarza. Dotychczas skutecznie się opierałem, ale dziś doszedłem do wniosku, że pomysł nie jest w gruncie rzeczy taki zły. Uznałem, że po powrocie z Kanady zaproponuję pracę u siebie pewnej znajomej lekarce, o której myślałem w ostatnim czasie nie tylko w kategoriach zawodowych...

Gdy wieczorem siedzieliśmy przy płonącym kominku i wspominaliśmy dawne wyprawy, zatęskniłem gwałtownie do otwartych przestrzeni i do wolności, jaką niesie za sobą wędrówka po dzikim i dziewiczym jeszcze kraju. Kto nigdy nie był na prerii, ten nie zrozumie magnetyzmu, z jakim przyciąga ona do siebie tych, którzy ją poznali. Ja poznałem prerię przed piętnastu laty. Do szpitala, w którym pracowałem, trafił pewnego lata intrygujący pacjent. Parał się on traperką, ale jakże nie pasował do potocznego wyobrażenia o tych nieokrzesanych, często niemal „dzikich” ludziach. Od początku ujął mnie swą osobowością i inteligencją, dlatego z ogromną przykrością myślałem o nieuchronnej – jak mi się zdawało – amputacji jego prawej nogi. Mężczyzna ów trafił do mnie powiem z zaawansowaną gangreną – efektem niezbyt fortunnego spotkania z szarym niedźwiedziem.

W dniu operacji doszło do zdarzenia, które zaważyło na całym moim późniejszym życiu. W szpitalu pojawili się Indianie (z plemienia Czarnych Stóp) i (za moją udzieloną w afekcie zgodą)... wyleczyli „mojego pacjenta”. Karol (bo to on był właśnie tym pacjentem) nigdy nie zapomniał mi oddanej wówczas przysługi. Po tym, jak na skutek krytycznych artykułów prasowych, pod wymownymi tytułami: „Znachorskie praktyki w szpitalu”, czy „Lekarz – szarlatan”, zostałem wyrzucony ze szpitala, pomógł mi przetrwać najgorszy okres mego życia. Wówczas to (zimną 1880 roku) narodził się pomysł wspólnej wyprawy. Czy mi się podobała? Niech za odpowiedź posłuży prosty fakt, iż od tamtego lata co roku wybierałem się z Karolem, by wśród pierwotnej przyrody spędzić cztery wiosenno-letnie miesiące. Wędrówki u boku Wielkiego Bobra, bo takim przydomkiem obdarzyli mojego przyjaciela Indianie, stały się dla mnie życiową pasją, czymś, czego nie wyrzekłbym się za wszystkie skarby świata!

W niedzielę znalazłem wreszcie trochę czasu, by chociaż ogólnie zapoznać się z geografiami i historiami terenów, które mieliśmy odwiedzić.

Dotychczas zwiedziliśmy między innymi Arizone, Nowy Meksyk, Oklahome, Montane, daleką północ, Albertę i Nową Fundlandię. Tereny Brytyjskiej Kolumbii były mi jednak zupełnie obce. Obłożony książkami, zaszyłem się w mej domowej biblioteczce i z przerażeniem czytałem o górach, w których spędzić miałem najbliższe miesiące. Jeszcze nigdy los nie zagnał mnie w tak niegościnne obszary – szczyty w Górach Skalistych Kolumbii Brytyjskiej osiągały wysokość ponad 9 tysięcy stóp!

Kolumbia Brytyjska weszła w skład brytyjskiego dominium Kanady dopiero w 1871 roku. Tak późna integracja tej prowincji z resztą kraju wynikała z jej odległego położenia – aż do wczesnych lat czterdziestych XIX stulecia jedynymi białoskórymi mieszkańcami byli tu nieliczni przedstawiciele Kompanii Zatoki Hudsona. Społeczne oblicze kolonii zaczęło się zmieniać po roku 1849, kiedy to z Anglii przyłynęli pierwsi osadnicy. Obok myśliwych pojawili się rolnicy, a w 1851 roku gubernator James Douglas zaczął sprowadzać górników i drwali. Stopniowe uniezależnienie się od kosztownego importu podstawowych produktów było warunkiem dalszego rozwoju Kolumbii Brytyjskiej.

Przełomowym momentem dla rozwoju ziem zachodniego wybrzeża Kanady było ukończenie w 1885 roku gigantycznej inwestycji transportowej – budowy ogromnej linii kolejowej łączącej Wschód z Zachodem wielkiego Dominium Kanady. Egzystencja Canadian Pacific Railway umożliwiła błyskawiczny rozwój miast Kolumbii Brytyjskiej – Vancouver i Victorii. Dość stwierdzić, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat ludność największej tamtejszej metropolii – Vancouver – wzrosła z pięciu do dwudziestu pięciu tysięcy mieszkańców.

Jednak tereny, które mieliśmy odwiedzić, leżały na przeciwległym, wschodnim krańcu prowincji, gdzie wysokie góry wciąż skutecznie ograniczały jakikolwiek cywilizacyjny rozwój. Na pokrytej białymi plamami mapie kanadyjskich Gór Skalistych niebieskimi liniami oznaczone były tereny należące do Indian. W miejscu gdzie – zdaniem Karola – położona była farma Stevena, linie te stykały się – oznaczało to, że arena naszej przyszłej wędrówki leży na granicy wpływów trzech indiańskich narodów.

Na wschód rozciągały się tereny plemienia Plain Cree. Indianie Cree w czasie początkowych kontaktów z Anglikami zamieszkiwali tereny

wokół Zatoki Jamesa i wzdłuż zachodniego wybrzeża Zatoki Hudsona. W okresie prowadzenia handlu futrami terytorium ich powiększyło się – na początku XIX wieku Cree zajmowali tereny od Labradoru do Gór Skalistych. Z przyjemnością stwierdziłem, iż wojownicy tego plemienia należą do algonkińskiej grupy językowej – ich dialekt bardzo przypomina znany mi już język Czarnych Stóp.

Zachodni odłam narodu Cree – zamieszkujący prairie zachodniej Alberty – określany był przymiotnikiem „plain”. Członkowie tej grupy zajmowali się myślistwem, rybołówstwem i zbieractwem. Żyli w małych grupach, przenosząc się często z miejsca na miejsce. Do podróży przez liczne rzeki i tereny bagniste używali canoe, sanek i toboganów. Mieszkali w okrągłych wigwamach pokrytych skórą z karibu i łosia. Podobnie jak inne plemiona, ubierali się w wyprawione przez ich kobiety skóry zwierząt. Z radością przeczytałem, że w przeciwieństwie do swych sąsiadów ze wschodu – Moose Cree i East Cree – nigdy nie udowodniono im kanibalizmu.

Na północ od terenów, na których mieliśmy przebywać, zamieszkiwali Indianie z plemienia Beaver. Był to naród dosyć tajemniczy – chociaż o jego istnieniu wzmiankował już w 1792 roku Alexander Mackenzie, to do dziś dnia informacje o zwyczajach plemienia „Bobrów” były raczej skąpe. Polowali oni głównie na łosie, ciesząc się uznaniem i opinią odważnych myśliwych. Wioski ich były dużo biedniejsze od osad ich sąsiadów – Indian Cree. Dlaczego? Otóż, jak pisał na jeden z misjonarzy, przyczyną panującego wśród „Bobrów” ubóstwa był... hazard. Oto, jak wspomniany misjonarz opisywał najpopularniejszą grę:

„Gracze siadają w dwa rzędy, twarzami naprzeciw siebie; siedzą na piętach, ciasno, jedno ciało przy drugim. Ręce ich, ukryte na plecach lub pod rozłożoną skórą, mają ze sobą łączność. Na dany sygnał zaczyna się ruch. Asystujący widzowie uderzają rytmicznie w tamburyny, w coraz szybszym tempie. Jeden z obozów przechowuje u siebie kostkę. Kostka jest w którymś ręku zamknięta. Wódz przeciwnego szeregu musi odgadnąć w którym. Aby utrudnić badanie, puszczają w ruch ręce, ramiona, piersi operującego obozu. Wszystko to podnosi się, opada, pochyla się, wywraca w spazmach i podskokach... A przy tym wycia w takt tamburynów, z dzikim crescendo, rosną wraz z drganiem ciał, członków i głów. Oczy skaczącego obozu, wlepione w przeciwnika, zdają się wychodzić z

orbit, jakby go chciały otumanić... Tymczasem odgadywacz, z nieprawdopodobną szybkością, umówionymi znakami zatrzymuje sarabandę, wskazuje na dziesięć czy dwadzieścia rąk podejrzanych o posiadanie kostki i zmusza je do otwarcia, na dowód, że nie jest oszukany. Jeżeli odgadł, to kości i gra przechodzą do jego obozu. Jeżeli się pomylił, wtedy zwycięzcy rozpoczynają wrzaski na nowo, ze zdwojonym zapalem. Beavers gotowi są przy tym zapamiętaniu w grze spędzać dni i noce, bądź w śniegu i deszczu. Po skończonej partii padają wyciećzeni...”

Trzecim plemieniem, którego członków mogliśmy spotkać podczas wyprawy byli Indianie Kolumbii Brytyjskiej – Kwakitutlowie. W przeciwieństwie do społeczności Wielkich Równin, mieszkali oni w długich, zbudowanych z drzewnych pali, domostwach. W każdym takim domu mieściło się kilka, a nawet kilkanaście rodzin. Mężczyźni mieli długie, czarne włosy, czasami pomalowane tłuszczem i ochrą; przekłuwali uszy (a czasem i nosy), a na szyjach i piersiach nosili ozdoby z miedzi i muszelek. Kobiety ubierały się w suknie i tuniki z wyprawionych skór łosi i wydr.

W społeczności Indian Kwakitutl rozbudowana była wiara w duchy, magię i czary. Istniała ponadto bogata tradycja mitologiczna: opowiadano o widzianych, monstrualnych drzewach, supernaturalnych ptakach, przerażającym thunderbirdzie (ptaku grzmotu), który zimą przylatywał z północy, łamał drzewa i straszył ludzi... Bogate życie duchowe pierwotnych mieszkańców Kolumbii Brytyjskiej uwidoczniło się w sztuce – Indianie Kwakitutl słynęli jako budowniczości najwspanialszych totemów Ameryki Północnej.



Gdy tylko ustaliliśmy termin wyjazdu, Karol wysłał telegram do Roberta. Dowiedziałem się wówczas, że nie tyle Robert miał pomóc nam, ile my... jemu. Według Karola, nasz trzydziestoletni „młodzieniec” wpaść miał w Fort Benton w niezbyt dobrane towarzystwo. Mój przyjaciel, niegdyś opiekun Roberta, czuł się za niego w pewien sposób odpowiedzialny, toteż nie mógł mnie dziwić fakt, iż chciał odciągnąć go od niezbyt wartościowych kamratów. Na czym polegać miały występki Roberta? Tego już mi Karol nie powiedział!

Pewnego słonecznego dnia, na przełomie maja i kwietnia, objuczeni ciężkimi siodłami i jeszcze cięższym podręcznym bagażem, zjawiliśmy się na dworcu w Milwaukee. Dokonaliśmy tam ostatnich sprawunków (na które składał się głównie tytoń do fajek) i wsiedliśmy do ostatniego wagonu pociągu jadącego do Chicago. Według rozkładu za osiem dni mieliśmy postawić nasze stopy na dworcu w Kelownie –

w sercu Gór Skalistych. Rozpocząła się nowa przygoda.